

RENE BURES.

## Zil=X...

11) tłumaczyła z francuskiego MARYA SEGENY.

Dalton z szacunkiem podszedł do niej i doprowadził do hotelu, gdzie usiadła, zmieszana trochę i niespokojna.

— Pan zapewne wie o ciężkich ciosach, jakie spadły na mnie w tym czasie — zaczęła głośno, dźwięcznym głosem.

— Wiem, proszę pani — odpowiedział Dalton, patrząc ze współczuciem na jej bladą twarz.

— Zostałam sama na świecie z tym straszonym, niezapomnianym wspomnieniem. Kilka dni temu udałam się do dyrektora policyi i prosiłam go o pozwolenie interesowania się przebiegiem śledztwa. Bo ja chcę, panie, ja chcę wiedzieć, komu zawdzięczam moje nieszczęście.

— I dyrektor policyi się zgodził?

— Nie panie, odmówił. Powiedział mi, że moja pomoc byłaby mu niepotrzebna — że chce mi oszczędzić wzruszeń, jednym słowem wynalazł różne powody, aby mi tylko odmówić. Wtedy pomyślałam o panu. Niech mi pan to za złe nie bierze. Nie mam już żadnych krewnych prócz pana i pani de Limandoux, którzy są już starzy ludzie. Oni mi w niczem pomóc nie mogą... Więc... — Wyciągnęła z torebki portfel wypięty i podała Daltonowi, mówiąc z pewnym zmieszaniem. — Oto dziesięć tysięcy franków... jeżeli panu potrzebna będzie większa suma, to poproszę o uprzedzenie mnie.

Ale Dalton łagodnym ruchem odsunął jej rękę.

— Proszę pani — rzekł. — Jesteśmy co prawda defektywni, ale innej kategorii... wyjątkowej... pieniędzy pani przyjąć nie mogę.

— A więc pan także nie chce mi pomóc?

— Nie, owszem, dopomożemy pani. Ale bezinteresownie. Będziemy od dziś do dyspozycji pani o każdej godzinie. Może pani nami rozporządzać do woli. Niech pani nie sądzi jednak, że się chcemy narzucać jako bezinteresowni opiekunowie czy przyjaciele. My również jesteśmy zainteresowani tą sprawą, więc przybierając panią do pomocy, nie wyświadczamy jej żadnej przysługi.

Panna de Beaumont zastanawiała się chwilę. Spojrzała bystro na Daltona, potem na mnie, następnie z wyrazem uspokojenia na twarzy schowała portfel do torebki.

— Jednakże pozostaną dłużniczką panów — wyrzekła z zaniepokojeniem.

— Bynajmniej. Może nam pani oddać wiele ważnych usług. Czy pozwoli pani zatem zadać parę pytań?

— Słucham pana.

— Pani wie o aresztowaniu pana Jerzego Dambleuse — nieprawdaż?

— Tak panie, oświadczyła panna de Beaumont błędnie lekko.

— Nie ośmielałam się zapytać od pani zwierzchności — ciągnął dalej Dalton. — Chciałbym tylko otrzymać od pani parę wyjaśnień. Od jak dawna łączyły rodzinę pani z panem Jerzym Dambleuse stosunki towarzyskie?

— Od dwóch lat mniej więcej. Poznałam go w Vichy, gdzie dziadek mój przebywał na kuracji. Pan Jerzy Dambleuse mieszkał w tym samym hotelu. Po wyjeździe z Vichy odwiedził nas w willi „Bzów”.

— Czy nie wydał się pani kiedy niespokojnym, zamyślnym, jak człowiek ukrywający jakąś tajemnicę?

— Oh! nie! — zawołała panna de Beaumont — To był człowiek szczery i lojalny.

Ale natychmiast domawiając tych słów zacierwienia się silnie. W gorącym tem oświadczeniu zdradziła własne uczucia. Umilkła na chwilę i znowu podjęła z szczerą brawurą i energią.

— Proszę pana, nie mam potrzeby ukrywać przed panem tego, co jutrzejsze dzienniki wyjawiać mogą. A przytem przyszłam przecież prosić pana o pomoc! Tej pomocy pan mi nie odmówił — ażeby z niej jednak skorzystać muszę powiedzieć wszystko. Kochałam... kocham jeszcze pana Jerzego Dambleuse. Matka moja przyzwoliła na nasze zaręczenie się. Tak, proszę pana, Jerzy Dambleuse był moim narzeczonym. Pomimo mojej woli jednak stosunek ten się zerwał... po-

mimo mojej woli... i bez zrozumienia mojego dlaczego się tak stało.

Ciche łkanie przerwało dalsze jej słowa. Dalton szanując jej ból milczał wpatrzony w nią z zajęciem.

— Opowiem panu wszystko po kolei — podjęła znowu spokojniejszym już głosem. — Mówiłam już, że byliśmy zaręczeni. Pewnego dnia — trzy tygodnie będzie temu, matka moja przywołała mnie do swojego pokoju. Powiedziała mi wówczas, że wyrzec się muszę dawnych projektów, że nie mogę być żoną Jerzego... pana Dambleuse. Prosiłam o wyjaśnienie, odpowiedziała, że zaszyły rzeczy bardzo ważne tak ważne, że prosi mnie abym więcej nie nalegała i nie wymagała tłumaczeń.

— Tak się musi stać dla ciebie dla twojego dobra — powiedziała mi blada bardzo — i dla dobra honoru rodziny. To małżeństwo jest niemożliwe.

Byłam tak przygnębiona i zdumiona temi słowami, że znalazłam odwagę na opór wobec mojej matki. Zaczęłam nalegać, dyskutować, prosić. Powiedziałam w końcu, że mam prawo wiedzieć prawdę skoro chodzi o szczęście całego mojego życia. Matka moja odpowiedziała mi, że cierpi wraz ze mną, że kocha mnie zawsze, więc rozumi mój zawód i ból, ale nie może nic mi powiedzieć. W końcu z płaczem, całując mnie, wyznała, że nawet rozmowa o tym przedmiocie jest niebezpieczna dla nas i błagała mnie raz jeszcze bym jej nie zadawała żadnych pytań.

I powiedziała jeszcze rzecz jedną rzecz najstraszniejszą dla mnie, że muszę bezwzględnie opuścić Rainey, bez pożegnania z Jerzym, że może później zobaczę go jeszcze, ale na razie muszę usunąć się i ukryć w bezpiecznym miejscu.

— Gdzie się mam udać? — zapytałam.

— Do wuja twojego de Limandoux.

— To jeszcze nie wszystko. Matka moja po chwili wahania dodała jeszcze, że trzeba koniecznie postawić zapórę pomiędzy „nimi” a nami. Kto są ci „oni”, to niewiem. Nie chciała mi także tego powiedzieć. Wytlómaczyła, że to niedosyć usunąć się z tych stron, że koniecznie muszę mieć innego narzeczonego i że tym narzeczonym będzie mój kuzyn, kapitan de Limandoux.

— Usłyszawszy to, zbuntowałam się. Powiedziałam, że zgadzam się na oddalenie, lecz nie zgodzę się nigdy zostać żoną mojego kuzyna, że kocham Jerzego Dambleuse i nigdy kochać go nie przestanę. Wówczas moja biedna mama rzuciła się do kolan moich i błagała mnie tak długo, że opierać się już nie mogłam. Widząc jednak moją rozpacz ta kobieta tak szlachetna i tak zacna zaproponowała mi pewien rodzaj oszustwa i podstęp. Podała mi myśl aby zaręczyny moje z kapitanem de Limandoux uczynić prowizorycznymi. Oh! niech mnie pan zrozumie panie Dalton. Czy mogłam nie przyjąć tej wstępnej coprawda kombinacji, ale dającej mi słabą nadzieję urzeczywistnienia dawnych moich marzeń. W jakimże okropnym stanie rozpacz i niepokoju musiała być moja biedna mama skoro sama podała mi myśl takiego kompromisu! To samo utwierdziło mnie w przekonaniu, że rzeczywiście grozi nam jakieś straszne niebezpieczeństwo. Kapitan de Limandoux zjawił się jeszcze tego samego dnia u nas. Po obiedzie zbliżył się do mnie i rzekł.

— Nie chcę wywierać żadnej presji na tobie kuzynko. Sama zechcesz oznaczyć datę naszego ślubu. Być może, że za czas jakiś będę ci mógł dać pewne wyjaśnienia, dziś byłyby one przedwczesne. Ale wiedz, że chcę otrzymać twoją rękę z własnej twojej woli. Teraz nie mówię do ciebie jako narzeczony, tylko jako obrońca. Pamiętaj, że bronić cię będę aż do śmierci.

Słuchaliśmy z Daltonem w milczeniu tego opowiadania notując w myśli każde słowo.

Lecz teraz Dalton przerwał nagle pannę de Beaumont, zapytując z naciskiem.

— Kapitan powiedział, „aż do śmierci”?

— Tak, to są jego własne słowa. Były one dosyć dziwne, dlatego utkwiły w mojej pamięci.

— Dziękuję pani — czy ma pani jeszcze co do powiedzenia?

— Cóż powiem więcej — westchnęła panna de Beaumont. — Czułam bezustannie, że wokoło mnie krąży jakieś niebezpieczeństwo, jakaś tajemnicza, ukryta zbrodnia i że odemnie tylko zależy niebezpieczeństwo to usunąć. Ustąpiłam więc i zgodziłam się na prośbę matki.

Nazajutrz matka moja zawiozła mnie auto-

mobilem do mojego wuja. W drodze zbuntowałam się jeszcze raz ostatni. Jeszcze raz zapytałam się o wyjaśnienia, których udzielić mi nie chciała. Zaczęłam jej wówczas robić wyrzuty, że uprzedziła się do pana Dambleuse i zawołałam: „Mamo ty nie kochałaś nigdy Jerzego!” Na co ona wzruszyła ramionami w milczeniu.

— Pozostałam przez dni piętnaście u mojego wuja. Pilnowano mnie bardzo. Nie pozwolono mi przechadzać się samej po parku. O godzinie piętej wieczorem, zamykano już bardzo starannie drzwi i wszystkie okna zamku. Dano mi pokój pomiędzy sypialnym pokojem mojej ciotki i gabinetem starej służącej, która służyła u niej od lat dwudziestu. Wówczas nadeszło to straszne nieszczęście... nie mam potrzeby o niem mówić... panowie wiecie lepiej odemnie.

Pana de Beaumont musiała posiadać wielki dar panowania nad sobą. — Doprowadziwszy do końca to długie opowiadanie głosem spokojnym i stanowczym, rozplakała się nagle.

— Milczeliśmy chwilę, aby jej dać czas do opanowania się.

— Pani — rzekł w końcu Dalton — od dziś poświęcimy się wyłącznie sprawie pani. — Proszę tylko panią o pewną rzecz. Musi pani wziąć jako pomoc oficjalną obecnego tu mojego przyjaciela Vallorbe i nie zechce nic przedsięwziąć bez jego porady. Jeżeli będzie pani zmuszona stanąć przy rozprawie sądowej, którą przewiduję, on będzie stałym towarzyszem pani. Czy zgadza się pani na moją propozycję?

— Tak panie! — odpowiedziała z prostotą panna de Beaumont.

Oskarżony trwa w dalszym oporze.

Przeszedł dzień jeden, nie przynosząc ze sobą żadnego ciekawszego wydarzenia. Dzienniki jednak nie przestawały drukować coraz to dłuższych artykułów. Pragnieniem reporterów było utrzymać zaniepokojenie publiczności w ciągłym napięciu. Wina Jerzego Dambleuse stała się już pewną dla wszystkich! Młody awiator był mordercą kapitana de Limandoux. Była to rzecz niezaprzeczona. Pozostawiając rewołwer swój w pokoju, gdzie dokonano zbrodni, temsamem zdradził się. Nikt jednak nie mógł wytłómaczyć sobie jasno, jak mógł Dambleuse popełnić taką nieuwagę i lekkomyślność. Podobne jednak sprawy zdarzają się dosyć często. Morderca poza tem inteligentny i sprytny, popełnia głupstwo, które go prowadzi do więzienia, a jednak cały plan jego przedsięwzięcia opracowany był starannie i umiejętnie.

Możnaby przypuszczać, że Jerzy Dambleuse po dokokaniu rzekomej zbrodni zmuszony był szybko uciekać przed obudzoną służbą, kręcąc się po korytarzach. Wówczas to w ostatniej chwili dla ratowania się poświęcił wszystko. Takim było ogólne zdanie reporterów dziennikarskich. Dodawali oni jednak do niego setki niepotrzebnych szczegółów.

Tymczasem sędzia Giroux wykazywał pilność nadzwyczajną. Widywano go, przechodzącego przez kurylarze Pałacu Sprawiedliwości z głową wysoko wzniesioną, uśmiechającego się do wszystkich pogardliwie lub niedbale. Na żadne interview z reporterami nie zgadzał się, to też ci ostatni patali ku niemu prawdziwą nienawiścią. Reporterzy jednak pomimo pogardliwego milczenia sędziego, radzili sobie doskonale i posiadali wszystkie potrzebne im wiadomości, krążące po Pałacu Sprawiedliwości. Dowiedzieli się w sposób uboczny, że sędzia Giroux postanowił nie pozwolić oskarżonemu do przygotowania swojej obrony i że ma zamiar zawezwać go do przesłuchania zaraz po upływie legalnego terminu oznaczonego paragrafem. Adwokat Jerzego Dambleuse nie chciał się zgodzić na podobną taktikę, lecz sędzia w tym wypadku okazał się silniejszym od niego.

Nazajutrz więc po aresztowaniu Jerzy Dambleuse wprowadzony został przez dwóch policyantów do gabinetu sędziego śledczego. Reporterzy i to ografowie, którym udało się go zobaczyć w przelocie, zauważyli, że oskarżony nie był wcale przygnębionym, że patrzył przed siebie i że twarz jego zachowała dawny wyraz energii i spokoju.

Zaraz po wprowadzeniu oskarżonego do gabinetu sędziego, rozpoczęło się badanie.

— Gdzie pan był w nocy, w której zamordowano kapitana de Limandoux? — zapytał sędzia Giroux.